

Henryk Świdorski

Historie wojenne

Niepodległość i Pamięć 2/3 (4), 221-244

1995

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Henryk Świdorski

Historie wojenne

Historię tworzą ludzie - ich postawy, działania lub zaniechania. Składają się na nią fakty niezwykle, wielkie, czasem bohaterskie, ale także prozaicznie szare, wykonywane cicho i bez rozgłosu. Znaczenie czynów i waga ich skutków zależy czasem od zaangażowania znacznych środków i konsekwentnie realizowanego planu, ale niekiedy od przypadku. Poniżej przytaczam kilkanaście zdarzeń z lat ostatniej wojny 1939-1945, uzupełnionych trzema relacjami ich uczestników: oficera kawalerii Wojska Polskiego, a później Armii Krajowej, który przeżył egzekucję w Wawrze, dwu oficerów - cichociemnych - przerzuconych z Anglii do okupowanego kraju, oraz łączniczki, która w czasie Powstania Warszawskiego dotarła z Kampinosu, do generała "Bora".

Losy ludzi, w latach okupacji niemieckiej w Polsce, rozstrzygały się często w dramatycznych sytuacjach. Szczęśliwy finał był zaledwie o krok od tragedii. Poświęcenie i odwaga jednych ocierała się o asekurację innych. Zwykli ludzie wykazywali niezwykłą dojrzałość i determinację. Niech zanotowane tu relacje i wspomnienia ocala ich od zapomnienia.

"BŁYSK" U PAPIEŻA

W czasie audiencji publicznej w Watykanie latem 1984 r. Papież Jan Paweł II zatrzymał się przy mężczyźnie, który opowiedział zdarzenie z lat ostatniej wojny. Ojciec Święty wysłuchał go z uwagą, objął ramionami, przytulił do siebie i powiedział: "Ze mną było podobnie. I do mnie strzelali. Niezbadane są wyroki Boże". Pielgrzymem, który rozmawiał z Papieżem był major Jan Franciszek Warnke, w czasie ostatniej wojny legendarny "Błysk", który przyjechał do Rzymu razem z żoną Marią z ich drugiej ojczyzny - Kanady.

Jan Franciszek Warnke urodził się 28 września 1913 r. w Chabarowsku nad Amurem, we wschodniej Syberii. Był wnukiem warszawianina Józefa Stengla zesłanego w 1905 r. do Nerczyńska z dożywotnim wyrokiem za działalność niepodległościową. Po burzliwych wydarzeniach rewolucji bolszewickiej na Syberii przyjechał do Warszawy w 1926 r. z matką Stefanią oraz bratem i siostrą. Jesienią 1938 r. ukończył Szkołę Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu (z drugą lokatą) i w stopniu podporucznika rozpoczął służbę w 1. pułku ułanów krechowickich w Augustowie. Walczył z Niemcami do pierwszych dni października 1939 r., kiedy to po wyczerpaniu amunicji po bitwie pod Wołą Gułowską nastąpiła kapitulacja. Uciekł z obozu jenieckiego w Radomiu i zamieszkał u matki w Aninie, przygotowując się do przejścia na Zachód.

W nocy 26/27 grudnia 1939 r., został zabrany z domu przez patrol niemiecki i w grupie ponad stu Polaków znalazł się przed plutonem egzekucyjnym w Wawrze. Ciężko ranny, ale żywy, wydostał się spod ciał martwych współtowarzyszy kilka godzin po egzekucji i z wielkim trudem dotarł do domu matki w Aninie. Dzięki pomocy żony płk. Jana Litewskiego, dowódcy 1. pułku ułanów, został przewieziony, w ubraniu kobiecym, do szpitala wojskowego na Ujazdowie, gdzie leczył go troskliwie dr Piotrowski.

Od kwietnia 1940 r. przebywał na rekonwalescencji w majątku Kozłówka, przyjęty tam gościnnie przez właściciela, hr. Adama Zamoyskiego, majora 1. pułku ułanów. Jesienią tego roku spotkał, ukrywającego się tam ks. Stefana Wyszyńskiego, późniejszego Prymasa Tysiąclecia. Po aresztowaniu przez gestapo mjr. Zamoyskiego Jan Warnke musiał opuścić Kozłówkę.

W marcu 1941 r. przyjechał do Grójca i tam - dzięki rekomendacji swego pułkowego kolegi por. Zygmunta Nowińskiego "Zgrzyta" - został przyjęty do ZWZ. Wszedł do Komendy Obwodu ZWZ Grójec ("Gawron", od października 1942 r. - "Głuszec") i wkrótce stał się bliskim współpracownikiem komendanta obwodu kpt. Stefana Jodłowskiego "Kłona", "Grabowskiego". Jako por. "Błysk" pełnił funkcję oficera broni i komendanta "Kedywu" oraz wykonywał zlecane mu zadania specjalne.

Od połowy 1943 r. Niemcy nasilili represje, których efektem były masowe aresztowania. Na polecenie ówczesnego komendanta Obwodu "Głuszec" kpt. Dionizego Ruska "Halnego" "Błysk" opracował plan akcji zbrojnej na siedzibę gestapo w Grójcu, gdzie przebywali aresztowani Polacy. W nocy z 26 na 27 marca 1944 r. dowodził atakiem na budynek Gestapo, skąd uwolniono 25 więźniów, wśród nich szefa kontrwywiadu Komendy Obwodu, kpt. Macieja Gabałę "Marka". Za pomyślnie przeprowadzoną akcję, bez strat własnych, został odznaczony Krzyżem Walecznych. Po zakończeniu wojny podjął pracę w instytucjach cywilnych. Lecz wobec grożącego mu aresztowania musiał opuścić kraj. Wkrótce potem wyjechała również jego żona, Maria, w latach okupacji łączniczka AK "Cyganka". Od 1948 r. mieszkają w Kanadzie, uczestnicząc aktywnie w działalności organizacji polonijnych. Wiosną 1993 r. ppłk Jan Franciszek Warnke został wybrany przewodniczącym Rady Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Kanadzie.

"CIESZĘ SIĘ, ŻE NARESZCIE PRZYBYŁEM DO STOLICY"

Po północy 2 września 1942 r. oddział Armii Krajowej Ośrodka Tarczyn, dowodzony przez kpt. Edwarda Ziółkowskiego "Zośkę", na polu zrzutowym "Rogi" koło Bogatek, w pobliżu drogi z Grójca do Tarczyna, odebrał 6 cichociemnych spadochroniarzy. Przetransportował ich angielski samolot Halifax z lotniska Tempsford pod Londynem. Byli to: dowódca grupy kpt. Bolesław Kontrym "Żmudzin" oraz porucznicy: Mieczysław Eckhardt "Bocian", Michał Fijałka "Kawa", Wacław Kopisto "Kra", Hieronim Łagoda "Lak" i Leonard Zub-Zdanowicz "Dor". Ten ostatni złamał nogę podczas lądowania i został na miejscu pod opieką doktora Franciszka Grodeckiego "Grada".

Podzieleni na trzy grupy, pod opieką przewodników, wsiadali na różnych przystankach do wagonów kolejki grójcekiej i jechali do Warszawy. Tworzący parę "Kra" i "Lak" po

przybyciu na Dworzec Południowy pojechali tramwajem na ul. Puławską 24. W lokalu pod numerem 19 mieszkał Alfred Bartnik i tam znajdował się ich punkt kontaktowy. Sytuacja skomplikowała się, kiedy na miejscu okazało się, że aż trzy budynki były oznaczone numerem 24 - z literami "A", "B", "C". Nazwiska lokatorów miały brzmienie niemieckie. Obserwacja budynków potwierdziła, że mieszkali tam oficerowie i urzędnicy niemieccy. Zdenerwowanie wzrosło, kiedy pojawiły się trudności z ustaleniem rezerwowego kontaktu, który miał się znajdować w domu przy ul. Mokotowskiej. Postanowili wówczas pojechać kolejką do Grójca, gdzie mieli dodatkowy adres. Ale okazało się to niewykonalne, ponieważ na Dworcu Południowym trwała oblawa. Zbliżał się wieczór. Powrócili na Puławską, "Kra" postanowił sprawdzić, kto mieszka w lokalu 19, w budynku o numerze 24/A. Z zachowaniem ostrożności wszedł na klatkę schodową i nacisnął przycisk dzwonka. Drzwi otworzyła młoda, sympatyczna kobieta. Na pytanie o Alfreda Bartnika odpowiedziała, że nie ma go chwilowo w domu, a ona jest jego kuzynką. Wacław Kopisto odetchnął z ulgą i powiedział: "Przyjechałem ze Stanisławowa i chciałbym przekazać pozdrowienia panu Bartnikowi od jego znajomego. Podróż była bardzo męcząca i cieszę się, że nareszcie przybyłem do stolicy."

Kiedy kobieta powiedziała: "Witamy, witamy", "Kra" ucieszył się, ponieważ słowa powitania były zaszyfrowaną odpowiedzią na hasło rozpoznawcze, jakim był ostatni człon jego wypowiedzi. Sytuacja wyjaśniła się i wkrótce również "Lak" i "Kawa" znaleźli się w mieszkaniu. Kiedy zmęczeni oficerowie usiedli wygodnie w fotelach, gospodyni poczęstowała ich herbatą, a następnie wykręciła numer telefonu. Po kilku grzecznościowych zdaniach powiedziała, że właśnie otrzymała trzy kosze pomidorów i prosi o zabranie ich. Niebawem przyjechały dwie "ciotki" i zabrały skoczków do przygotowanych melin na Żoliborzu. Rozpoczął się czas przystosowywania się cichociemnych do warunków okupacji i trudnych zadań, jakie otrzymali od zwierzchników.

NIEMCY KONWOJENTAMI BRONI POLSKIEGO PODZIEMIA

Kiedy po wiadomościach w języku polskim o godzinie 19⁰⁰ pnego wrześniowego wieczoru 1943 r. rozgłośnia BBC w Londynie nadała melodię *Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę*, oznaczała to zaszyfrowaną informację zapowiadającą akcję lotniczą na polu zrzutowym o kryptonimie "Latarnia 421". Dowódca akcji por. kaw. Karol Świętorzecki "Żubr" zarządził zbiórkę żołnierzy AK Ośrodka VI Gószczyn z bronią, latarniami i wozami konnymi. Nad polami wisiąca jesienna mgła. Żołnierze w napięciu oczekiwali na przylot samolotu. Krótco po północy nadleciał angielski bombowiec typu Halifax i po wymianie sygnałów świetlnych wyrzucił 11 zasobników metalowych i paczek. Zasobnik dwunasty, który nie mógł się odłączyć od zaczepu, został wrzucony do morza podczas rejsu powrotnego. Kontenery przewieziono do wytypowanych gospodarstw i tam je ukryto. Żołnierze z uczuciem ulgi i zadowolenia powrócili do domów.

Paczki z bronią musiały być przewiezione do Warszawy. Karol Świętorzecki, który administrował majątkiem Piekarty, polecił zaprząć konia do bryczki i włożyć tam dwie paczki, a następnie ruszył w kierunku przystanku kolejki grójeckiej w Kozietulach. Kiedy przy-

jechał do Goszczyna, stojący przy drodze dwaj uzbrojeni Niemcy kazali mu zatrzymać się. Musiał podjąć błyskawiczną decyzję - wykonać polecenie, czy strzelać i uciekać? Dowiem się, czego chcą - pomyślał i ściągnął lejce. Niemcy zapytali go, dokąd jedzie, nie zwracając uwagi na paczki. Kiedy dowiedzieli się, że do Koziętul, zaproponowali wspólną podróż. "Żubr" z zadowoleniem wyraził zgodę wiedząc, że ich obecność będzie chroniła niebezpieczny ładunek.

Na przystanku kolejki czekali polscy policjanci, którzy po oddaleniu się Niemców zabrali paczki i zawieźli je do Warszawy.

"LATARNIA 421" CZUWA

W nocy z 30 kwietnia na 1 maja 1944 r. na polu zrzutowym o kryptonimie "Latarnia 421", w pobliżu wsi Strupiechów w gminie Goszczyn, wylądowali 4 cichociemni: dowódca grupy mjr Kazimierz Szternał "Zryw" oraz kpt. Franciszek Cieplik "Hatrak", por. Kazimierz Osuchowski "Rosomak" i rtm. Jan Skrochowski "Ostroga". Przywieźli do kraju 270 000 dolarów w banknotach i 13 200 w zlocie. W czasie trwania akcji załoga samolotu zrzuciła kilka zasobników, które zawierały broń maszynową, amunicję, 5 radiostacji oraz aparaty fotograficzne. Po nocnym wypoczynku, śniadaniu i otrzymaniu okupacyjnych kart tożsamości, zrzutkowie zostali przewiezieni na stację kolejki w Grójcu, skąd mieli pojedynczo jechać do Warszawy. Jeden z opiekunów, ppor. Edmund Świtalski "Marc", kupił bilet i pierwszego skoczka wyekspediował pod opieką konduktora w przedziale zarezerwowanym "Nur für Deutsche".

Zanim odjechał następny pasażer, powrócił pociąg z Warszawy. Konduktor poznał "Marka", spacerującego po peronie. Z zagadkową miną skinął na niego i poprowadził w odległą kąt stacji sugerując, że ma coś bardzo ważnego do powiedzenia. "Pełen najgorszych przeczuć - relacjonował po latach Świtalski - co do losu naszego kolegi, oczekiwałem tragicznej wiadomości o łapance, wypadce, aresztowaniu czy czymś podobnym. Tymczasem kolejarz z tajemniczą miną wykrztusił: «Panie, ten pański kolega nic mi nie dał». Wyręczyłem kolegę. Ale jaki ciężar spadł mi z serca."

PRZERZUT RADIOSTACJI

Aparaty radiowe i kwarce do radiostacji, które odebrano na polu zrzutowym koło Strupiechowa w nocy 1 maja 1944 r. przewieziono do majątku Pszczółkowskich Machnatka i tam ukryto. Zostały one przydzielone kompanii radiotelegraficznej "Orbis" utrzymującej łączność radiową Komendy Głównej Armii Krajowej z kwaterą Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych w Londynie. Po kolejną partię radiostacji przyjechała do Machnatki łączniczka "Orbisu" Wanda Skwirut "Wanda". Dnia 22 czerwca 1944 r. otrzymała dwie paczki i pod opieką przewodnika przyjechała na przystanek kolejki dojazdowej w Skowronkach koło Małej Wsi. Ponieważ trzeba było poczekać na nadejście pociągu, przewodnik zaprowadził ją do pakamery stojącej w pobliżu torów.

"Wanda" przeraziła się, kiedy po otwarciu drzwi zobaczyła siedzących w pomieszczeniu policjantów i funkcjonariuszy jakiejś formacji niemieckiej. Sytuacja wyglądała groźnie. Gdyby Niemcy zainteresowali się zawartością paczek, zostałaaby na pewno aresztowana. Jednak ani policjanci, ani Niemcy nie zainteresowali się nią. Przewodnik uspokoił ją, że jedni i drudzy są Polakami, członkami AK, którzy na polecenie przełożonych przyjechali po odbiór dolarów, niedawno przywiezionych przez cichociemnych, skaczących z samolotu angielskiego na pole zrzutowe "Latarnia 421". Pod opieką policjantów "Wanda" bezpiecznie zawiozła radiostację do Warszawy.

"W URZĘDZIE TRZEBA ZDJĄĆ CZAPKI"

Różne były metody walki z okupantem niemieckim. Do najbardziej dotkliwych należały sabotaż i dywersja. Napadano również na urzędy zabierając pieniądze, które następnie przeznaczano na zakup broni, pomoc rodzinom aresztowanych, druk gazetek. Wściekłość Niemców powodował nie tylko zabór pieniędzy, ale wręcz demonstracyjna jawność, ponieważ akcje wykonywano przeważnie w ciągu dnia, a sprawcy uchodzili bezkarnie.

Jedną z takich akcji została przeprowadzona w grudniu 1943 r. w Urzędzie Skarbowym w Grójcu około godziny pierwszej po południu. Przygotował ją i nadzorował por. Edward Górecki "Zyg", pracownik tego Urzędu. Akcję wykonali sprawnie żołnierze AK z Placówki Belsk w składzie: Ryszard Kobytecki "Ryś", Henryk Kowalczyk "Sęp", Kazimierz Leźnicki "Nałęcz", Edward Potworowski "Epi" i Andrzej Świerczyński "Jaś". Wyznaczonego dnia przyjechali do Grójca. Tam czekał na nich łącznik, który zaprowadził ich na ulicę Radomską, gdzie znajdował się Urząd Skarbowy.

"Ryś" pozostał pod budynkiem i obserwował wartownika, który po drugiej stronie ulicy pilnował wejścia do stacji telefonów, "Nałęcz" zatrzymał się w korytarzu, natomiast "Sęp", "Epi" i "Jaś" weszli do sali kasowej i nie zdejmując czapek lustrowali pomieszczenie. Zauważył ich jeden z urzędników i powiedział głośno: "W urzędzie trzeba zdjąć czapki". Wtedy szybko wydobyli broń, zniszczyli przewody telefoniczne, wszystkim obecnym nakazali podnieść ręce do góry i odwrócić się do ściany, a kasjerowi polecili wydać pieniądze. Ten trzęsąc się ze strachu wypełnił szybko teczkę banknotami. Opuścili lokal unosząc 56 000 zł. Teczke odebrała Irena Łukowska, a broń łącznik. Uczestnicy akcji opuścili bezpiecznie zagrożony teren.

"NIE UCHODZI, ABY ŻOŁNIERZ NA SŁUŻBIE WYSTĘPOWAŁ W ŁACHACH"

Żołnierze polskiego podziemia - z wyjątkiem oddziałów partyzanckich - nie nosili mundurów wojskowych, lecz korzystali z własnych ubrań cywilnych. Tylko niektórzy z nich ubierali się z fantazją w kurtki, bryczesy czy buty z cholewami, co czasem kończyło się aresztowaniem. Przeświadczenie o tym, że w szczególnych czasach, jakimi była okupacja niemiecka, uczestnictwo w zbrojnym podziemiu jest kontynuacją zaszczytnej służby w Wojsku

Polskim, rodziło takie zachowania, jak opisane przez dowódcę drużyny w Placówce Lipie sierz. podch. Andrzeja Nadolskiego "Żara".

"Starszy strzelec «Wrona» - Franciszek Lasota, po regularnej służbie wojskowej, celowniczy erkaemu w 2 drużynie placówki «L» jako człowiek zupełnie ubogi miał tylko dwa ubrania: robocze - używane do pracy w polu, i świąteczne. Na akcje brał zawsze świąteczne, za każdym razem ryzykując jego zniszczenie. Twierdził, że nie uchodzi, aby żołnierz na służbie występował w łachach.

LISTY Z KROPKĄ

Anonimowe donosy wysyłane do władz okupacyjnych powodowały groźne skutki dla wymienionych w nich osób. Informowały one o wykroczeniach lub łamaniu zarządzeń wprowadzonych przez wojskową i cywilną administrację niemiecką. Dotyczyło to posiadania broni, czytania gazetek podziemnych, posiadania aparatów radiowych... Następstwem donosów były rewizje, aresztowania, przesłuchania, kończące się zesłaniem do obozów koncentracyjnych. Motywem takich nagannych zachowań były porachunki osobiste, zażość, zemsta lub zwykła głupota.

W celu ograniczenia tego rodzaju działań, na polecenie władz podziemnych, polscy pracownicy pocztowi sprawdzali listy adresowane do władz niemieckich i niszczyli anonimy, uprzedzając osoby zagrożone. Wiązało się to z dużym ryzykiem, ponieważ Niemcy bacznie kontrolowali pracę polskiego personelu.

Na polecenie komendanta Obwodu Grójec "Głuszec" kpt. Stefana Jodłowskiego "Kłona" pracownicy komórki kontrwywiadu AK, po ustaleniu autora donosu, wysłali do żandarmerii niemieckiej w Grójcu list informujący, że wymieniony osobnik przechowuje w domu broń, radio lub gazetki. Listy pisane przez kontrwywiad AK do żandarmerii miały kropkę w górnym, prawym rogu, co było informacją dla polskich kontrolerów, żeby anonim nie niszczyli, lecz przesyłali adresatowi. List z kropką powodował wizytę Niemców połączoną z rewizją i przesłuchaniem. Finałem było albo aresztowanie donosiciela albo tylko rewizja, która stanowiła przysłowiowy kubek zimnej wody, wymuszający rezygnację z donosicielstwa.

MSZA W INTENCJI "KLONA"

Komendant Obwodu AK Grójec - "Głuszec" kpt. Stefan Jodłowski "Klon" był dowódcą cieszącym się wielkim szacunkiem i uznaniem wśród członków miejscowego podziemia. Szczególnie ceniono jego rozważę przy podejmowaniu decyzji, dotyczących akcji antyniemieckich. Był zdecydowanym przeciwnikiem wszelkich nieprzemyślanych działań, które mogłyby powodować represje w stosunku do ludności.

W bliskim kontakcie z nim pozostawała adwokat Wanda Godlewska "Wir", której opinii w sprawach ważnych, o charakterze pozawojskowym, kpt. "Klon" często zasięgał. Korzy-

stał również z jej domu jako pewnego miejsca spotkań i narad Komendy Obwodu. Także "Wir" wysoko ceniła ceniła "Klona" jako komendanta i okazywała mu należny szacunek. Kierowana szlachetnym porywem serca zamówiła mszę na intencję "Klona" w dniu jego imienin 2 września 1942 r. Miał ją odprawić w kościele grójeckim ksiądz dziekan Aleksander Bujalski, będący osobą zaufania komendanta. Kiedy kpt. Jodłowski dowiedział się o tym, musiał podjąć jedną z trudnych decyzji w swoim życiu. Czy ze względu na bezpieczeństwo konspiracji odrzucić zaproszenie narażając się na zarzut, że postąpił tchórzliwie, czy wziąć udział we mszy zachowując niezbędne środki ostrożności? Zdecydował się na to drugie z zastrzeżeniem udziału we mszy ograniczonej liczby uczestników.

STRADIVARIUS POD SIENNIKEM

Maciek urodził się 4 stycznia 1944 r. w Warszawie. Jego ojcem był cichociemny por. Jan Kochański "Maciek", który został aresztowany we Lwowie przez Gestapo i tam zamordowany 16 lutego 1944 r., natomiast matką - Zofia z domu Rapp. Jako łączniczka AK, posługując się dokumentami na nazwisko Marie Springer, jeździła w tajnych misjach wywiadowczych do Berlina i innych miast niemieckich.

Dnia 1 listopada 1943 r. została aresztowana we Lwowie razem z mężem. Była wówczas w zaawansowanej ciąży. Umieszczona w szpitalu po strażą, uciekła przy pomocy ludzi z miejscowej siatki AK. Mimo zaostrzonych kontroli na stacjach i w pociągach przyjechała szczęśliwie do Warszawy pod opieką sędziego Tadeusza Semadeniego. Gestapo szukało jej pilnie w warszawskich szpitalach, ale bez skutku. W szpitalu św. Zofii, prowadzonym przez siostry zakonne, urodziła syna i dała mu na chrzcie imię Maciej, które było pseudonimem konspiracyjnym ojca.

Przypuszczalnie w lutym przyjechała z dzieckiem na teren powiatu grójeckiego. Za bezpieczne dla nich miejsce uznano dwór Władysława Jaruzelskiego w Woli Pogroszewskiej. Została tu gościnnie przyjęta jako Zofia Waniecka. W dzieciennym wózku przywiozła dwa skarby - małego Macka pod kółderką, a pod sienniczkiem skrzypce jej teścia, znakomitego skrzypka Pawła Kochańskiego, wykonane w pracowni słynnego włoskiego lutnika Stradivariusa.

PAN TADEUSZ PO JAPOŃSKU

Kiedy na ulicach Warszawy w sierpniu 1944 r. trwały ciężkie walki z Niemcami, powstańcy z nadzieją spoglądali w niebo czekając na alianckie samoloty, które miały dostarczyć broń. Nadchodzące z Londynu depecze zapowiadały zrzuty lotnicze na terenach podwarszawskich i nakazywały miejscowym placówkom nocne czuwania.

Jednego z sierpniowych wieczorów teren leżący na północ od Tarczyna, wyznaczony na pole zrzutowe, patrolował oddział AK dowodzony przez por. Edwarda Góreckiego "Zyga" z Ośrodka I Grójec. W poszukiwaniu żywności żołnierze weszli do stojącego na uboczu do-

mu, w którym spotkali Japończyka. Powiedział on, że jest lekarzem. Bez środków do życia, zatrzymał się w gospodarstwie volksdeutscha, który go bardzo źle traktuje. "Zyg" stanął w obronie pokrzywdzonego i oświadczył gospodarzowi, że jeżeli nie zmieni swego postępowania, musi się liczyć z poważnymi konsekwencjami. Następnie polecił przygotować kolację dla głodnych i zmęczonych żołnierzy.

W czasie spożywania posiłku wzruszony Japończyk deklamował fragmenty *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza w języku ojczystym, a żegnając się z "Zygiem" ofiarował oddziałowi kilka strzykawek lekarskich, które zabrała sanitariuszka.

KOBIAŁKA PEŁNA GRANATÓW

Niszczenie dokumentacji obowiązkowych dostaw mleka, mięsa, zboża i innych produktów rolnych, przeprowadzane okresowo przez podziemie, dezorganizowało pracę administracji niemieckiej. Utrudniało, a nawet często uniemożliwiało, okupantowi egzekwowanie tak zwanych dostaw kontyngentowych oraz karanie rolników uchylających się od przymusowych świadczeń. Niszczenia ksiąg inwentarzowych oraz wyposażenia urzędów gminnych dokonywały kilkuosobowe patrole, najczęściej w nocy.

Omówiona niżej akcja została przeprowadzona samotnie przez żołnierza AK Ryszarda Kobyłeckiego "Rysia" w godzinach popołudniowych 18 lipca 1944 r. "Ryś", ubrany w strój wieśniaka z kobiałką wypełnioną jajkami, pod którymi był ukryty pistolet, wszedł do pokoju na piętrze budynku mleczarni w Belsku Dużym koło Grójca. Były tam przechowywane dokumenty gminne, a budynku strzegł niemiecki wartownik. W pokoju znajdowało się trzech urzędników. "Ryś" pod groźbą użycia broni kazał im położyć się na podłodze i nie podnosić alarmu przez pół godziny. Na plecach leżących umieścił jajka ostrzegając, że są odbezpieczone granaty, które wybuchną, jeżeli spadną na podłogę. Następnie włożył do worka rejestry dostaw obowiązkowych i bez pośpiechu opuścił budynek. Dokumenty te zostały później spalone. Kiedy Niemcy zorientowali się, że tę zuchwałą akcję wykonał jeden człowiek, posługujący się kurzymi jajkami, zatuszowali całą sprawę nie nadając jej rozgłosu, aby uniknąć kompromitujących komentarzy.

WNUCZKA HISZPANKI

"Pod Grójcem królowała kobieta jak z powieści Henry Jamesa. Piękna i nieszczęśliwa, światowa i bogata, znakomita gospodyni i wierna przyjaciółka" - napisał Jarosław Iwaszkiewicz w książce *Podróże do Polski* o Justynie Bersonowej, właścicielce majątku Boglewice.

Urodziła się ona w Odessie, w rodzinie fabrykanta cygar. Przyjechała do Polski, gdzie poślubiła Edwarda Bersona, właściciela majątku Boglewice i tam zamieszkała. Po śmierci męża prowadziła wzorowo gospodarstwo i udzielała się społecznie. Jej towarzyszką życio-

wą była Niemka Elza. Mimo osobistego zagrożenia z powodu swego niaryjskiego pochodzenia, w latach okupacji niemieckiej pani Justyna udzieliła schronienia w dworze boglewickim wielu ukrywającym się ludziom, m.in. na początku 1940 r. około 20 młodym mężczyznom w folwarku Osiny. Pracowali oni jako drwale w okolicznych lasach. Jednym z nich był inż. Andrzej Grossman, do wojny mieszkaniec Warszawy, który w konspiracji jako por. "Żabiński" zorganizował i kierował łącznością radiową w Obwodzie AK Grójec - "Głuszec", pracującą na rzecz Komendy Głównej AK. Ponieważ Elza jako Niemka miała legalnie aparat radiowy, "Żabiński" mógł słuchać regularnie audycji radiostacji zachodnich. Zebrane informacje przekazywał redakcji podziemnego tygodnika "Dzwon Polski", a także po przetłumaczeniu zamieszczał w redagowanym przez siebie francuskojęzycznym biuletynie "La Victorie Finale". Egzemplarze biuletynu trafiały do jeńców Francuzów i Belgów, zatrudnionych w niemieckich warsztatach wojskowych w Górze Kalwarii.

Na skutek donosu w 1943 r. Niemcy zainteresowali się przodkami właścicielki Boglewic. Wyjaśnienie tej sprawy starosta grójecki przekazał Kreislandwirtowi Otto Buggischowi. Wśród poręczycieli "aryjskości" Bersonowej obok Elzy był Tadeusz Morawski z Małej Wsi. Buggisch znał go jako właściciela wzorowo prowadzonych folwarków małowiejskich. Wiedział też, że Morawski studiował nauki rolnicze na Uniwersytecie Wrocławskim i znał biegle język niemiecki. Właściciel dóbr małowiejskich zeznał pod przysięgą, że zgodnie z jego posiadaną wiedzą przodkowie Justyny Bersonowej z domu Waltuch byli aryjczykami, a jej babka Hiszpanką.

Pani Justyna szczęśliwie przeżyła okupację niemiecką. Wiosną 1945 r. została zmuszona do opuszczenia Boglewic. Zmarła w Milanówku.

DZIEWCZYŃKA Z KARTECZKAMI

Głównym miejscem w Grójcu, do którego w latach okupacji niemieckiej dostarczano z Warszawy nielegalną prasę centralną, był skład drewna w pobliżu stacji kolejki dojazdowej. Prowadził go Wiktor Veidt "Brzask", aktywny członek AK. Miejscowe dziewczęta przygotowywały tam zestawy gazetek, które kolporterzy z placówek i ośrodków odbierali ze składu i dostarczali czytelnikom mieszkającym na terenie powiatu grójeckiego. Z mężem współpracowała Helena Veitdowa "Jelska", a ich kilkuletnia córka Maryla nosiła czasem paczki do osób, wskazanych przez rodziców. Nie znała zawartości paczek, ale wiedziała, że należy je strzec przed Niemcami.

Na początku lipca 1943 r. patrol żandarmerii niemieckiej zatrzymał kolportera "Zefira". W czasie rewizji znaleziono u niego paczkę z gazetami i fałszywymi kenkartami. Chłopiec pobity w czasie przesłuchania ujawnił, że gazetki otrzymał od Janiny Konopackiej, mieszkającej w Grójcu przy ul. Piłsudskiego. Powiadomiona o wpadce Wanda Godlewska, która była odpowiedzialna w Komendzie Obwodu Grójec - "Głuszec" za sprawy prasy, poleciła zniszczenie gazetek znajdujących się w punktach rozdziału prasy w Grójcu i natychmiastowe opuszczenie miasta przez Konopacką. Na skutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności

została ona jednak aresztowana i po brutalnym śledztwie wywieziona do obozu w Oświęcimiu.

Wiktor Veidt po otrzymaniu ostrzeżenia kazał żonie spalić cały zapas gazetek. Zdenerwowana "Jelska" rozpalila ogień w kuchni i wrzucała pod blachę pliki sprasowanego papieru. Nie spalone do końca arkusze wylatywały z komina i spadały na podwórko. Maryla, która była w tym czasie na podwórku, zobaczyła wylatujące arkusze papieru. Zauważyła, że gdy opadły na ziemię były czarne, ale tekst stał się biały i można go było bez trudu odczytać. Nadpalone gazetki nie rozsypywały się. Maryla wiedziała, że matka niszczyła paczki, aby nie dostały się w ręce Niemców. Wiedziała też, że gdyby odczytali nadpalone teksty, aresztowaliby rodziców. Szybko wymyśliła zabawę i włączyła do niej koleżanki z podwórka - kto rozdecpcze najwięcej czarnych kartek? Pod butami dzieci rozsypywały się arkusiki i wkrótce nie było już na podwórku czarnych kartek. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

PIWO WYPIŁ STRAŻNIK

Na wypadek szczególnego zagrożenia organizacje podziemne przewidywały stosowanie trucizn. W Grójcu będąca w dyspozycji miejscowej konspiracji fiolka z trucizną była przechowywana w szafie panczernej Urzędu Skarbowego. Kiedy Schupo zatrzymało pracownika akcyzy, obawiano się, że w czasie przesłuchań może ujawnić nazwiska znanych mu osób należących do AK, i ażeby uniknąć wyspy, postanowiono go otruć. W tym celu została przygotowana paczka żywnościowa, w której znajdowała się butelka z zatrutym piwem. Paczkę dostarczono do więzienia grójeckiego z podaniem nazwiska aresztowanego. Otrzymał on ją, lecz bez piwa. Okazało się, że butelkę wyjął z paczki i piwo wypił funkcjonariusz więzienia, który wkrótce zmarł. Natomiast pracownik akcyzy, który był podejrzany o drobne wykroczenie, został po przesłuchaniu zwolniony do domu.

KENKARTY DLA ŻOŁNIERZY "DOLINY"

Jesienią 1944 r. podziemie grójeckie wykonało 54 fałszywe kenkarty dla pochodzących z Wileńszczyzny żołnierzy oddziału AK por. Adolfa Pilcha "Góry", "Doliny", przebywających wówczas w Puszczy Kampinowskiej. Nadleśniczy Kampinosu, inż. Witold Kowalski "Szwarc", który opiekował się żołnierzami "Doliny", następująco opisał kłopoty związane z przywiezieniem tych dokumentów do bazy partyzanckiej w Kampinosie:

"W Sochaczewie obiecali mi dostarczyć odzież, ale legitymacji nie mogłem tam uzyskać. Postanowiłem udać się z tym do władz AK w Grójcu, gdzie miałem znajomych z czasu pobytu w Osinach i Budziszynie. Obiecano mi dostarczyć potrzebną liczbę kenkart, o ile dam im fotografie. Poleciłem szoferowi Jędrzejczakowi, który posiadał aparat, sfotografować wszystkich chłopców według listy. Czynność ta odbywała się w gajówce Zamość.

W międzyczasie wyrobiłem u niemieckich władz leśnych i wojskowych w Sochaczewie zezwolenie dla pracownicy nadleśnictwa (łączniczki) pani Barbary Dąbrowskiej (obecnie

Sielska), na prawo ewentualnego przejazdu środkami wojskowymi na trasie Sochaczew - Grójec przez Mszczonów, motywując to potrzebą zorganizowania sadzonek z powiatu grójeckiego. Pani Dąbrowska-Sielska pojechała z fotografiami do Grójca do mego brata dra Stanisława Kowalczewskiego, który sprawę kenkart załatwił. Następnego dnia pani Dąbrowska miała wyjechać z Grójca z paczką dowodów do Mszczonowa, gdzie według umowy miałem z żoną czekać na nią samochodem w bocznej ulicy koło kościoła do godziny 12⁰⁰. Nie doczekawszy się jej w umówionym miejscu, pojechaliśmy do Grójca. Tam powiedziano nam, że wyjechała rano z kenkartami w kierunku Mszczonowa. Pełni niepokoju wróciliśmy pospiesznie do nadleśnictwa, chcąc uprzedzić o ewentualnej wyspie. Ku naszej wielkiej radości zastaliśmy Basię, siedzącą spokojnie w biurze przy maszynie do pisania. Opowiedziała o swojej przygodzie. Ponieważ wszystko zostało załatwione wcześniej, postanowiła jak najszybciej wyjechać z Grójca. Na szosie zatrzymała auto (zdawało jej się, że prywatne). Ku swemu przerażeniu ujrzała w him gestapowców, którzy po wylegitymowaniu zabrali ją do samochodu, umieszczając paczkę osobiście na półeczce w tyle samochodu. W ten sposób dojechała do Paprotni, skąd na piechotę dotarła już do nadleśnictwa bez przygód. Trzeba stwierdzić, że była to wyjątkowo dzielna i odważna dziewczyna".

Nowy Jork, 27 X 1989 r.

Jan Franciszek Warnke

W WAWRZE PRZEŻYŁEM WŁASNĄ ŚMIERĆ

Noc z 26 na 27 grudnia 1939 r. miała być ostatnią nocą mojego życia. Byłem biernym uczestnikiem akcji, którą realizowano z niemiecką dokładnością. Użyto przemocy wobec bezbronnych. Nie siląc się na przeprowadzenie przewodu sądowego, wydano wyrok śmierci na przypadkowych, niewinnych ludzi. Wielokrotnie powtarzany rozkaz: Feuer! wykonywał posłusznie pluton egzekucyjny. A jednak ze 114 Polaków i Żydów rozstrzelanych tamtej nocy w Wawrze, SIEDMIU PRZEŻYŁO WŁASNĄ ŚMIERĆ.

Jestem jednym z nich. Dziś wracam pamięcią do wydarzeń sprzed 50-ciu lat i przekazuję ich przebieg tak, jak utrwały się w mojej pamięci.

Nazywam się JAN FRANCISZEK WARNKE. Jestem majorem Wojska Polskiego w stanie spoczynku. Mieszkam w Kanadzie. Dnia 1 września 1939 r. jako podporucznik 1 Pułku Ułanów Krechowieckich im. płk. Bolesława Mościckiego ubezpieczałem przeprawę pomiędzy dwoma jeziorami w pobliżu Augustowa, od strony Prus Wschodnich. O godzinie 4³⁰ rano usłyszałem warkot samolotów, których nie mogłem rozpoznać z powodu gęstej mgły. Natychmiast przekazałem tę wiadomość do dowództwa pułku. Zarządzono alarm. O godzinie 13-tej samoloty niemieckie ostrzelały koszary i zrzuciły bomby na Augustów. Wojna ogarnęła nasz kraj. Brałem udział w walkach, jakie toczył nasz pułk z najeźdźcą, na czele plutonu kolarzy. Ponosiliśmy ofiary. Jedną z bardzo dotkliwych, którą silnie przeżyłem, była śmierć dowódcy 1 Pułku Ułanów dnia 11 września pod Zambrowem. Śmiertelnie

ranny, ppłk. Jan Litewski skonał na moich rękach. W nocy z 29 na 30 września jednostki Suwalskiej Brygady Kawalerii zostały włączone do Samodzielnej Grupy Operacyjnej "Polesie", dowodzonej przez gen. Franciszka Kleeberga. Po ciężkich walkach z Niemcami pod Wołą Gułowską, wobec wyczerpania się amunicji gen. Kleeberg - po porozumieniu się z dowódcami podległych mu oddziałów - podjął decyzję złożenia broni w dniu 5 października. Po kapitulacji zostaliśmy przewiezieni do obozu jeńców w Radomiu. Uciekłem stamtąd razem z kolegą pułkowym, ppor. Zygmuntem Nowińskim. Następnie pojechałem do Anina, gdzie mieszkały moja mama i siostra. Zmieniłem nazwisko na Jan Szymański. Szukałem usilnie kontaktów, które umożliwiłyby dotarcie poprzez Węgry do oddziałów Wojska Polskiego formowanych we Francji. Miałem już nawet ustaloną datę spotkania z przewodnikiem - 2 stycznia 1940 r. Jednak wydarzenia, jakie zaistniały 26 grudnia 1939 r., całkowicie przekreśliły te plany.

Przed północą zostałem obudzony silnym dobijaniem się do drzwi wejściowych. Wyjrzałem z góry przez okno i zobaczyłem chodzących wokół domu żołnierzy niemieckich. Ubierałem się pospiesznie, wkładając na siebie więcej niż zwykle bielizny. Mogłem liczyć na najgorsze, a za oknem srożyła się zima. Z sąsiednich domów wyprowadzano mężczyzn, tworząc kolumnę, do której i mnie dołączono. Na rozkaz ruszyliśmy. Przed jednym z domów w Aninie Niemcy zatrzymali naszą grupę i utworzyli dwuszereg. Krzycząc i śmiejąc się, kazali nam przechodzić pojedynczo między nimi. Popędzali, bili i kopali nas. Wielu upadło i doznało okaleczeń. Następnie musieliśmy wejść do domu, gdzie siedział przy stole oficer i zapisywał: imię, nazwisko i adres zamieszkania każdego z nas. Nic więcej go nie interesowało. W przedpokoju przy drzwiach stał żołnierz, który podstawił nogę wchodzącemu, powodując upadek na kolana przed urzędującym Niemcem. Zauważyłem to, ominąłem feldfebla i unikałem poniżającego upadku. Porucznikowi podałem nieprawdziwe dane. Kiedy zostały zakończone czynności rejestracyjne, oficer wyszedł przed dom i oświadczył, że za zabicie 2 żołnierzy niemieckich zostaliśmy skazani przez sąd wojskowy na karę śmierci. Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że w miejscowej restauracji dwaj kryminaliści Marian Prasula i Stanisław Dąbek zastrzelili 2 podoficerów z 538 Baubataillon. W odwecie Niemcy wydali wyrok śmierci na 114 Polaków i Żydów, mieszkańców Wawra i Anina, a także ich krewnych i znajomych, którzy u nich spędzali święta. Egzekucja została wykonana 27 grudnia pomiędzy godziną 5⁰⁰ i 6⁰⁰ rano w pobliżu stacji kolejowej w Wawrze, przez żołnierzy 2 i 3 kompanii VI batalionu 31 pułku Ordnungspolizei, stacjonującego w Warszawie, pod dowództwem majora Fryderyka Wilhelma Wenzla.

Przerażeni, podenerwowani i płaczący ludzie byli ustawiani przed plutonem egzekucyjnym. Po salwie żołnierze przechodzili wzdłuż leżących i oświetlając twarze latarkami, dobijali strzałami z rewolweru. Byłem w ostatniej grupie. Obok mnie znajdował się profesor Leon Kowalik ze swoim szesnastoletnim synem, który wołał: Ojcze, ja chcę żyć! Ja chcę żyć! Ja nie chcę umierać!

Podszedłem do stojącego w pobliżu porucznika i powiedziałem: Jestem polskim oficerem. Strzelaj! Niemiec nie zareagował, a ja szybko wycofałem się, kiedy uświadomiłem sobie, że gdyby nastąpiło ujawnienie mojego prawdziwego nazwiska, to groźne konsekwencje tego faktu mogłyby dotknąć mamę i siostrę. Intensywnie myślałem na sposobem ratunku.

Przypomniałem sobie opowiadanie mego wuja rotmistrza Witoszyńskiego, który w 1918 r. w podobnej sytuacji uniknął śmierci, padając na ziemię na chwilę przed salwą. Musiałem mieć przed sobą trochę wolnej przestrzeni. Uklęknąłem więc na pół kroku przed parkanem i zgodnie z poleceniem podniosłem obie ręce do góry. Klęczący obok mnie profesor Kowalik odmawiał *Zdrowaś Maria*, a ja zacząłem śpiewać *Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy...* i wtedy usłyszałem komendę: Feuer. Natychmiast pochylilem się do przodu i upadłem trafiony kulą. Miałem przeorane lewe płuco i przestrzelony obojczyk. Wcisnąłem głowę w śnieg. Słyszałem kroki nadchodzących Niemców i pojedyncze strzały. Za chwilę na moją głowę padło światło latarki. Zaciśnąłem powieki i modliłem się do Matki Boskiej Ostrobramskiej, której ryngraf nosiłem przy sobie od czasu, kiedy idąc na wojnę otrzymałem go od mamy. Wierzę, że ona uratowała mnie od śmierci. Usłyszałem dwa strzały i poczułem je na twarzy. Pocisk przeszedł niegroźnie po szyi głowy. Tu muszę wtrącić ważną dygresję. W roku 1984 byłem na audyencji w Watykanie. Kiedy Ojciec Święty zbliżył się do mnie, opowiedziałem to zdarzenie. Papież uważnie mnie wysłuchał, objął rękami i powiedział: "Ze mną było podobnie, I do mnie strzelali. Niezbadane są wyroki Boże".

Nie czułem bólu. Leżałem na śniegu nieruchomo. Mróz spowodował zakrzepnięcie krwi i zatamował jej upływ. Zaczęło się robić widno. Spojrzałem na zegarek. Wskazywał godzinę 7³⁰. Nadsluchiwałem, ale była cisza. W pewnej chwili coś się poruszyło. Zdawało mi się, że spośród rozstrzelanych ktoś się podniósł i biegł. Z dużym trudem stanąłem. Nie zauważyłem nikogo. Poczulem, że prawa ręka jest niesprawna. Podeszedłem do najbliższego domu. Za jego węglem zobaczyłem mężczyznę bez czapki z zakrwawioną twarzą. Co pan tu robi - zapytałem. A pan co? - odpowiedział również pytaniem. Był to Piegat, miejscowy fryzjer, który tak jak ja uratował się z egzekucji. W najbliższym domu nie uzyskałem pomocy. Przerazone oczy kobiety powiedziały mi wszystko. Natomiast w następnym kilkunastoletnia dziewczyna umyła mi twarz ze krwi. Następnie przyprowadziła moją siostrę. Wkrótce byłem w domu. Niedługo wróciła mama, która szukała mnie wśród rozstrzelanych. Ucieszyła się na mój widok i powiedziała - wierzyłam, że żyjesz.

Powiedziałem siostrze, żeby pojechała do Warszawy, odnalazła żonę ppłk. Jana Litewskiego i poprosiła ją o pomoc w przewiezieniu mnie do szpitala. Pani Litewska nawiązała kontakt ze swym bratem Komorowskim, który był dyrektorem Zakładów Radiowych Philipsa w Warszawie. Załatwił on samochód i kierowcę, który był sierżantem WP. Ubrano mnie w strój kobiecy i ruszyliśmy w drogę. Zostaliśmy zatrzymani przez niemiecki posterunek drogowy. Pani Litewska powiedziała, że wiezie do szpitala kobietę chorą na tyfus plamisty. Zostaliśmy szybko przepuszczeni. Ponieważ był już wieczór, zawieziono mnie do Cecylii Zaleskiej, która mieszkała przy ulicy Mokotowskiej 12 m 5. Tam przekazałem córce generała Knolla Barbarze relację z egzekucji w Wawrze. Jeszcze tego wieczoru wiadomość dotarła za granicę i rozgłośnic zachodnie poinformowały świat o zbrodni niemieckiej.

Moje opiekunki porozumiały się z lekarzem wojskowym pracującym w Szpitalu Ujazdowskim i ustalono, że zostaną przyjęty jako potrącony na ulicy przez wojskowy samochód niemiecki. Na Ujazdowie przebywałem przez trzy miesiące aż do całkowitego wyleczenia pod opieką dra Piotrowskiego, lekarza 2 Pułku Ułanów z Suwałk.

Po wyjściu ze szpitala w kwietniu 1940 r. zostałem zaproszony na rekonwalescencję do majątku Kozłówka przez majora 1 Pułku Ułanów Krechowickich Adama Zamoyskiego i jego żonę. Oficjalnie byłem zatrudniony jako praktykant leśny, a nieoficjalnie zorganizowałem 20-osobowy oddział. Mieliśmy 26 koni "pod siodłem", 20 karabinów i trochę broni krótkiej. Kiedy został aresztowany przez gestapo mjr Zamoyski w marcu 1941 r., musiałem opuścić Kozłówkę. Nawiązałem wówczas kontakt z ppor. Zygmuntem Nowińskim ps. "Zgrzyt", który pełnił wówczas funkcję szefa wywiadu Komendy Obwodu ZWZ "Głuszc"-Grójec. Powiedział mi, że potrzebni są tam oficerowie. Z rekomendacją "Zgrzyta" zgłosiłem się do komendanta Obwodu kpt. Stefana Jodłowskiego "Klona", który przyjął mnie do miejscowej organizacji ZWZ. Miałem pseudonim "Błysk" i pełniłem szereg ważnych funkcji w Komendzie Obwodu. Jako dowódca Kedywu zorganizowałem wiele akcji, jednak za najważniejszą uważam tzw. akcję na Caritas. W nocy z 26 na 27 marca 1944 r. w wyniku bravurowej akcji zbrojnej przeprowadzonej siłami własnymi Obwodu AK "Głuszc" zostało uwolnionych z więzienia gestapo w Grójcu 25 Polaków. Najważniejszym z nich był szef kontrwywiadu Komendy Obwodu kpt. Maciej Gabala "Marck". Miał on ogromne zasługi w ratowaniu członków miejscowego podziemia i ludności cywilnej zagrożonych przez Niemców. Wielu uratował życie cicho i bez rozgłosu. Za zorganizowanie i przeprowadzenie tej akcji zostałem odznaczony Krzyżem Walecznych, co wysoce sobie cenię.

Opracował Henryk Świdorski

RELACJA ZE SKOKU SPADOCHRONOWEGO

w nocy z 1/2 września 1942 r. opracowana przez uczestników akcji: Wacława Kopisto - pseudonim "Kra", Michała Fijałkę - pseudonim "Kawa".

W kolejności była to dziesiąta akcja przerzutu skoczków spadochronowych tzw. cichociemnych z Anglii zaszyfrowana pod nazwą "Smallpax" zorganizowana przez Oddział VI Sztabu Naczelnego Wodza w koordynacji z SOE ("Special Operations Executives"), której zadaniem były wywiad, sabotaż i dywersja na okupowanych przez Niemców terytoriach.

Ekipa nasza składała się z następujących członków:

1. D-ca - kpt. Bolesław Kontrym - pseudonim "Żmudzin"
2. Z-ca - por. Leonard Zub-Zubowicz - pseudonim "Dor"
3. Czł. - por. Mieczysław Eckhardt - pseudonim "Bocian"
4. Czł. - ppor. Hieronim Łagoda - pseudonim "Łak"
5. Czł. - ppor. Wacław Kopisto - pseudonim "Kra"
6. Czł. - ppor. Michał Fijałka - pseudonim "Kawa".

Podane stopnie wojskowe były aktualne przed zrzutem. Natomiast zgodnie z rozkazem Naczelnego Wodza poszczególni skoczkowie bezpośrednio po zrzucie byli awansowani o jeden stopień wyżej.

Ekipa nasza była zgrana i zaprzyjaźniona, ponieważ od przeszło roku przebywała razem na różnych kursach szkoleniowych, a w końcu została skierowana z początkiem marca 1942

r. na sześciotygodniowy kurs dywersji przemysłowo-kolejowej, zlokalizowany na zaszyfrowanej stacji angielskiej pod Nr 17, położonej niedaleko m. Stevenage na północ od Londynu.

Po ukończeniu zaplanowanych szkoleń przybyliśmy do punktu zbórnego przyszłych zrzutków w Audley End pod Cambridge, gdzie mieściła się stacja SOE Nr 43. Stamtąd po paru tygodniach ekipa nasza z początkiem III-ciej dekady sierpnia 1942 r. została skierowana do stacji wyczekiwania na odlot Nr 18 - położonej również w rejonie na północ od Londynu.

Przybyliśmy tam wraz z dwiema innymi ekipami. Nasza ekipa na tej stacji znalazła się po raz drugi, ponieważ poprzednio na przełomie miesięcy kwietnia i maja 1942 r. jako wytypowani do ostatniego odlotu w terminie wiosennym, oczekiwaliśmy tutaj również na przeczut. Wówczas jednak odlot nie nastąpił ze względu na niesprzyjające warunki atmosferyczne (za krótkie noce i brak zachmurzenia na trasie lotu).

Po rozlokowaniu szybko poczuliśmy się jakby od dawna zdomowieni tym bardziej, że w międzyczasie nie nastąpiły na stacji żadne zmiany personalne. Komendantem stacji był kpt. Robertsen, który do pomocy miał zastępcę porucznika i kilku podoficerów; gospodyniami tam były miłe "Fanki", kobiety wybrane z angielskiej elity towarzyskiej, a przy tym sprawdzone pod względem lojalności i w zachowaniu bezwzględnej tajemnicy.

O ile poprzednio, na wiosnę, pobyt na stacji wyczekiwania nie oznaczał definitywnie, że wkrótce odlecimy - to teraz wiedzieliśmy, że powrotu nie ma. Oczekiwaliśmy tylko sprzyjających warunków atmosferycznych do przelotu do kraju. W międzyczasie staraliśmy się utrzymać w jak najlepszym stanie swoją kondycję fizyczną poprzez intensywną gimnastykę i podtrzymywaliśmy swoje umiejętności głównie w instynktownym strzelaniu.

Te ćwiczenia przyczyniły się też do utrzymywania samopoczucia psychicznego w dobrym stanie. Zaprawieni więc duchowo i fizycznie oczekiwaliśmy tylko na umówiony sygnał o zamierzonym locie, nadawany o godz. 16-ej po dzienniku radiowym w języku polskim ze stacji BBC. Orientując się, że przy ówczesnej technice do odnalezienia miejsca zrzutu pomocnym było oświetlenie księżycy - wypatrywaliśmy jego pełni. Jakoż pod koniec sierpnia tarcza księżycy szybko się wypełniała, co oznaczało, że wkrótce nadejdzie noc przeznaczona.

Dzień 1 września 1942 r. rozpoczęliśmy normalnie. Przed południem odbyliśmy w ekipie codzienne ćwiczenia. Po południu obowiązkowo jak zwykle zebraliśmy się w "sitting roomie", by wysłuchać dziennika radiowego o godz. 16-ej. Tegoż dnia, jako w trzecią rocznicę wybuchu wojny, gen. Wł. Sikorski wygłosił w ramach dziennika okolicznościowe, patriotyczne przemówienie, skierowane do rodaków w kraju.

Po jego zakończeniu usłyszeliśmy melodię "Warszawianki", która dla niewtajemniczonych była tylko dostrojeniem do wystąpienia Generała. Dla nas jednak była ona hasłem alarmowym do przygotowania się do wyjazdu na lotnisko, skąd miał nastąpić przeczut do kraju. Zaczęliśmy więc szybko przygotowywać się do opuszczenia stacji, porządkując i sprawdzając swoje osobiste bagaże i oporządzenie bojowe łącznie ze spadochronem. Przechodne "Fanki" zaczęły przygotowywać kanapki na drogę. Musiały one być podobne do tych,

z jakimi można było spotkać się w kraju. A więc były to kromki razowego chleba przełożone plasterkami wędzonki.

Wkrótce gotowi do odjazdu na lotnisko, oczekiwaliśmy przybycia z Londynu naszych zwierzchników i mocodawców.

Jakoż niebawem na stację przybyli szef Oddziału VI Sztabu N.Wodza - ppłk Protasewicz z kpt. Jaźwińskim oraz nasz brytyjski anioł stróż mjr Perkins z SOE. Po przywitaniu się i po krótkiej odprawie, w czasie której dowiedzieliśmy się, że nasza ekipa w składzie jak wyżej została zaszyfrowana pod kryptonimem "Smallpax" (kołnierzyk), polecono nam szybko przygotować się do odjazdu na lotnisko. Z żalem pożegnaliśmy stację i jej miły personel, którego część pozostała na miejscu. Około godziny 18-ej kawalkada nasza w składzie kilku samochodów osobowych przybyła na lotnisko Tempsford, gdzie stacionował 138 dywizjon samolotów bombowych przeznaczonych do przerzutów. Z tego to właśnie lotniska ukrytego wśród leśnych pagórków mieliśmy jako kolejna 10-ta ekipa opuścić niebawem ziemię angielską.

Bezpośrednio po przybyciu na lotnisko zaopiekowały się nami towarzyszące nam "Fanki", które naprędce przygotowały pożegnalny posiłek. Wkrótce po jego spożyciu zjawili się w baraku nasi "szóstkarze" z ppłk. Protasewiczem i wręczyli nam pasy z dolarami dla potrzeb organizacji w kraju. Były one tak skonstruowane, że w tyle znajdowały się kieszonki na banknoty, a z przodu na rulony złotych monet. Po ich założeniu na kombinezony i zabranii pełnego wyposażenia bojowego, składającego się z dwu pistoletów i saperki, noża sprężynowego, latarki elektrycznej, nafosforyzowanej kulki ebonitowej i żelaznej porcji żywnościowej, podwicziono nas do miejsca postoju samolotu. Wcześniej ukryliśmy w swoich ubraniach apteczkę doraźną, truciznę, osobiste pieniądze oraz przybory toaletowe. Poza normalnym ekwipunkiem bojowym "Żmudzin" otrzymał do swojej dyspozycji radiostację nadawczo-odbiorczą.

Po otrzymaniu od komendanta lotniska zezwolenia na start pożegnaliśmy się z odprawiającymi nas i weszliśmy do nowoczesnego czteromotorowego bombowca typu Halifax produkcji angielskiej. Tam wkrótce zorientowaliśmy się, że cała załoga samolotu składającego się z ośmiu członków jest polska. Komendantem był nawigator kpt. M.Wodzicki a pierwszym pilotem por. Pieniążek.

W ten sposób rozpoczęliśmy wielką przygodę w samolocie, który miał nas przetransportować do Kraju opuszczonego przed trzema laty, a teraz znajdującego się pod ciężką okupacją wroga.

Niebawem silniki zaczęły grać coraz równiej, a samolot zaczął kołować z miejsca postoju na pas startowy. Około godziny 19.15, a więc jeszcze przed zmrokiem, wystartowaliśmy. Przez okienka wzrokiem żegnaliśmy ląd stały, aż do momentu, kiedy linia brzegu wyraźnie odcinała się od morza. Gdy samolot nabierając szybkości wzbił się ponad chmury, komendant ekipy "Żmudzin" ustalił następującą kolejność skoków: "Dor", "Lak", "Kra", "Kawa", "Bocian" i "Żmudzin".

Znalazłszy się ponad chmurami samolot wziął kierunek na północną część Danii. Skoczki w razie trudności oddechowych mieli do swojej dyspozycji maski tlenowe. Wkrótce nastąpił zmrok. Nad Danią weszliśmy w huraganowy ogień artylerii przeciwlotniczej, która

uszkodziła urządzenie goniometryczne samolotu. To spowodowało uniemożliwienie namiaru na właściwy kierunek lotu posiadanymi przyrządami. Pozostała tylko astronawigacja. Dowódca samolotu kpt. Wodzicki skonsultowawszy się ze "Żmudzinem" postanowili, że lot należy kontynuować na podstawie astronawigacji. To jednak utrudniało utrzymanie precyzji kierunkowej.

Po przelocie nad Danią weszliśmy nad Bałtyk, pozostawiając Kopenhagę po naszej prawej stronie. Z dala widoczne po naszej lewej stronie światła zwiastowały, że zbliżamy się do Szwecji. Ominęliśmy ją jednak, by nie naruszyć jej neutralności. Przelot nad Bałtykiem minął spokojnie. Z namaszczeniem oczekiwaliśmy teraz chwili, kiedy znajdziemy się znów nad lądem, gdyż to będzie oznaczało, że tym razem osiągnęliśmy Kraj.

Niebawem nasze oczekiwania spełniły się. Po osiągnięciu brzegów samolot skierował się bardziej na kierunek południowo-wschodni, którym dolecieliśmy do wstęgi Wisły w okolicy Płocka. Oznaczało to, że zesliśmy z kursu o około 100 km w kierunku północnym. W tej sytuacji pozostawiając Wisłę po lewej stronie w kierunku lotu samolotu, lecieliśmy bardziej na południowy wschód. Przelatując opodal Warszawy dostrzegliśmy, że stolica w kilku miejscach płonie. Jak się później okazało, pożary były spowodowane nalotem radzieckich samolotów tejże nocy. Minąwszy okolice Warszawy - samolot wziął kierunek na Grójec, gdyż na tej trasie miała znajdować się nasze pole zrzutu.

Po rozpoznaniu przez obserwatora i nawigatora samolotu miejsca placówki przyjęcia zrzutu położonej pomiędzy miejscowościami Łoś i Bogatki, na podstawie sygnałów świetlnych nadawanych z ziemi przez ekipę odbioru skoczków zarządzono alarm w samolocie. Samolot zrobił dodatkowe okrążenie celem obniżenia pułapu i ustawienia się na kierunek zrzutu, tj. pod wiatr - wskazany sygnałami świetlnymi z placówki w formie "pod strzałkę".

W skupieniu siedzieliśmy na miejscach według ustalonej kolejności skoków. Oczywiście sprawdzaliśmy przypięcie linki od spadochronu do właściwych zaczepów w samolocie. Po chwili dyspozytor otworzył klapę, przykrywającą otwór w podłodze samolotu. Zapalenie się światełka zielonego zelektryzowało nas. Wpatrzeni w dyspozytora czekaliśmy teraz już tylko na jego rozkaz do skoku: "Go" (idź = skacz). Po jego usłyszeniu zaczęliśmy skakać w przewidzianej kolejności. Wyskok z samolotu odbył się sprawnie. Na dole czekał nas zróżnicowany teren lądowiska: pola i łąki poprzecinane miedzami i zaroślami.

Zgodnie z założeniami szkoleniowymi poszczególni skoczkowie po zeskoku na ziemię mieli zdążyć do skoczka o numerze "3", tj. do "Kry". Na dole ekipa placówki mając potwierdzenie sygnałem radiowym z Londynu o godzinie 20-ej, że lot się odbywa, czekała naszego przybycia.

Sygnałem dla nich miała być melodia "Góralu, czy ci nie żal". Toteż wszystko było przygotowane na nasze przyjęcie. Najbliżsi członkowie placówki wkrótce znaleźli się przy poszczególnych skoczkach, a inni przy kontenerach (zasobnikach) z bronią i materiałami. Sześć tych zasobników zostało równocześnie zrzuconych z samolotu.

"Kawie" tak się złożyło, że jego miejsce lądowania niemal pokrywało się ze stanowiskiem oczekującego członka placówki. Toteż jeszcze podczas lotu "Kawa" otrzymał od niego informację, że jest bezpiecznie - bo Niemców w pobliżu nie ma. Potem pomógł mu zgasić czaszę spadochronu, a dopiero potem serdecznie przywitał się ze skoczkiem.

Zgodnie z założeniem "Kra" posiadający numer kolejny 3 oczekiwał na miejscu. Wkrótce do niego pozostali skoczkowie za wyjątkiem "Dora" oraz kilku żołnierzy z placówki odbiorczej. Następnie cała ta grupa przeszła do wytypowanego miejsca zbiórki placówki na skraju lasu, gdzie złożono spadochrony, kombinezony, hełmy ochronne i pozostałe osobiste wyposażenie skoczków. Pasy z pieniędzmi przywiezionymi dla organizacji oddano do rąk komendanta placówki. Wobec braku "Dora" - "Żmudzin" wysłał "Krę" i "Kawę" z ich odbiorcami na jego poszukiwanie. Wkrótce go znaleziono ze złamaną w wyniku lądowania nogą i doniesiono do placówki. W międzyczasie komendant placówki rozkazał swoim podwładnym odszukać wszystkie zrzucone kontenery i donieść je do placówki. Niebawem znalazły się one w komplecie na miejscu.

Wobec tego, że komendant placówki posiadał w dyspozycji tylko dwie furmanki zdecydował, że:

- jedną zostanie odwiedzony "Dor" ze złamaną nogą do meliny u księdza w Prażmowie,
- drugą zostaną odesłane 3 kontenery do konspiracyjnego magazynu,
- pozostałe 3 kontenery należy zamelinować w lesie na miejscu do następnej nocy.

Po tych zasadniczych czynnościach skoczków nakarmiono przygotowanym posiłkiem oraz zaopatrzone w podrobione karty rejestracyjne "Arbeitsamtu" (Urzędu Zatrudnienia) oraz udzielono różnych informacji dotyczących miejscowej sytuacji, a w szczególności poruszania się i podróżowania w warunkach konspiracji.

Z kolei skoczkowie przekazali dowódcy placówki broń osobistą z amunicją, a także pozostałe części wyposażenia bojowego oraz wysypali na miejscu szczyptę z polskiej ziemi, dowiezioną w różnych okolicznościach do Anglii, gdzie traktowano ją jako relikwię. Ponadto "Kawa" pozostawił osobiste pieniądze na placówce dla przekazania mu w Warszawie.

Następnie komendant "Żmudzin" podzielił skoczków na grupy według dojścia do punktów kontaktowych w sposób następujący:

- "Kawa" i "Bocian",
- "Kra" i "Lak",
- Żmudzin - sam, bo bez "Dora".

Wkrótce grupki te z przydzielonymi przewodnikami odeszły w kierunku podmiejskiej kolejki grójeckiej. Zgodnie z konspiracją każda z tych grup miała dojść do innej stacji, a mianowicie:

- "Kawa" i "Bocian" - do stacji Szczaki - Złotokłos,
- "Kra" i "Lak" - do stacji Głusków,
- "Żmudzin" chyba do stacji Gołków.

Po drodze niektórzy skoczkowie z nastaniem świtu ogolili się i umyli w napotkanych strumykach. Przed dojściem do stacji "Kra" i "Lak" zakopali osobiste pieniądze w lesie nad brzegiem strumyka w łatwych do odszukania punktach.

Po dojściu na stacje przewodnicy zakupili bilety kolejowe i po doręczeniu ich skoczkom - obserwowali dyskretnie podopiecznych. Pociąg kolejki wąskotorowej był mocno zatłoczony dojeżdżającymi do pracy i różnymi handlarzami. W czasie jazdy podróżni w wagonach byli rewidowani przez "Bahnschutzów" (niemiecką straż kolejową), poszukujących głównie

artykułów żywnościowych. Mimo to dojazd do Warszawy dla skoczków przebiegł spokojnie.

Po przybyciu do Warszawy udaliśmy się swoimi grupkami w poszukiwaniu punktów kontaktowych. "Kra" i "Lak" skierowali się na ul. Puławską Nr 24, gdzie mieli wyznaczony adres kontaktowy na nazwisko Alfreda Bartnika. Okazało się jednak, że pod numerem 24 były trzy bramy wejściowe (a, b i c) z powtarzającymi się numerami mieszkań, czego nam nie podano. W związku z tym wystąpiły trudności tym bardziej, że na tablicach adresowych pod numerami 19 nie było żadnych nazwisk lokatorów.

Wobec powyższego "Kra" i "Lak" udali się na poszukiwanie dodatkowego kontaktu na ul. Mokotowskiej, co również zawiodło. W drodze powrotnej na ul. Puławską spotkali "Kawę", który nie znalazłszy również dotychczas kontaktu - opuścił "Bociana", a dołączył do "Kry" i "Laka". W końcu intuicyjnie "Kra" odnalazł adres kontaktowy pod Nr 24 a m 19. Hasłem było: "Nareszcie przybyłem do stolicy" - odzew "Witamy, witamy". Po odświeżeniu się skoczków - gospodarze przyjęli ich poczęstunkiem. W międzyczasie wydzwaniali do łączniczki - prosząc je o przybycie po odbiór pomidorów, którymi według domniemania byliśmy właśnie my - skoczkiwie.

Niebawem zjawiły się dwie ciotki - łączniczki, z których "Jadzia" odtransportowała "Krę" i "Laka" na Żoliborz, gdzie chwilowo pozostawiła "Krę" w kościele św. Stanisława Kostki, a "Laka" bezpośrednio doprowadziła na kwatery. Po czym wróciła po "Krę", którego ulokowała u p. dr. Jadwigi Fruhalifowej przy ul. Zaulek (obecnie Pogonowskiego) Nr 23. Natomiast łączniczka "Dana" doprowadziła "Kawę" do mieszkania p. Marchwowej na rogu ul. Suchej i Filtrowej.

Dziś - po tylu latach miło nam bardzo, że jeszcze możemy we wspomnieniach odtworzyć ówczesne przeżycia na prośbę dowódcy placówki mjr. Edwarda Ziółkowskiego. Szczególnie utkwiło nam w pamięci pierwsze zetknięcie się ze skrawkiem ojczystej ziemi, gdzie oczekiwała nas placówka odbiorcza dobrze przygotowana i zorganizowana oraz pełna przyjaźni. Dotychczas pamiętamy, jak dużą aktywnością odznaczał się komendant placówki w przyjęciu skoczków, zebraniu i zabezpieczeniu zrzuconych kontenerów i opieki nad uszkodzonym spadochroniarzem. Również wiele serdeczności doznaliśmy od członków placówki - naszych odbiorców, przewodników i pierwszych opiekunów. Zorientowani też jesteśmy, że cała załoga placówki sumiennie wywiązała się ze swoich zadań i skrupulatnie rozliczyła się z przekazanych jej po skoku dużych kwot pieniędzy organizacyjnych oraz prywatnych "Kawy".

Pomimo tej pierwszej fazy, tak sprzyjająco rozpoczętej bezpośrednio po zeskoku, dalsze losy dla naszej ekipy nie były łaskawe, ponieważ:

1. "Bocian" zginął już w trzy miesiące po zeskoku w więzieniu w Brześciu Litewskim,
2. "Lak" po aresztowaniu go w Łomży i tam bestialsko katowany - zginął,
3. "Żmudzin" został stracony na mocy wyroku PRL w 1953 r., a następnie pośmiertnie zrehabilitowany w 1957 r.,
4. "Dor" powiązał się z radykalnym ruchem NSZ i później trafił do "Brygady Świętokrzyskiej" NSZ,

5. "Kawa" przeszedł szczęśliwie działalność konspiracyjną na Wołyniu a potem cały szlak bojowy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, ale później jego sytuacja zmieniła się na niekorzyść. Od 29.XI.1944 r. więziony na Zamku w Lublinie, skazany na 10 lat, więziony był we Wronkach, skąd objęty amnestią z racji utworzenia Rządu Jedności Narodowej został zwolniony w październiku 1945 r. Później długie lata był dyskryminowany,

6. "Kra" aresztowany 3.IV.1944 r. w Łucku na Wołyniu przez organa radzieckiego MGB, skazany został na śmierć 18.X.1944 r. w Kijowie przez Trybunał Wojenny bez prawa wniesienia apelacji. Pomimo tego po trzymiesięcznym pobycie w celi śmierci Najwyższe Kolegium Wojennego Trybunału w Moskwie zamieniło mu pierwotny wyrok na 10 lat obozów pracy. Karę tę odbywał początkowo w północnej części europejskiej ZSRR, potem w środkowej Syberii, a ostatnich sześć lat na Kołymie nad Morzem Ochockim w Azji północno-wschodniej, skąd powrócił w ramach repatriacji do Kraju w grudniu 1955 r. z równoczesną rehabilitacją.

Kończąc relację należy podkreślić, że "Kawa" długo poszukiwał przez ZBoWiD, szkoły i urzędy gminne którekolwiek z członków ekipy placówki odbiorczej, ale bez powodzenia. Przypadek dopiero zrzucił, że w 1979 r. dowiedział się o losie i miejscu zamieszkania dowódcy placówki, p. Edwarda Ziółkowskiego.

Bardzo żałujemy, że tak późno udało się nawiązać tę łączność, która pozwoliła nam wyrazić Mu podziękowanie za pełną poświęcenia służbę i pomoc.

Wanda Skwirut-Grochowska

Z KAMPINOSU NA WOLE

Wspomnienia łączniczki Kompanii Radio "Orbis" KG AK

Początek Powstania Warszawskiego, do którego przygotowaliśmy się od pierwszego dnia okupacji, stoi mi wyraźnie do dziś przed oczami. Trzy dni przed jego wybuchem miałam wypełnione przewożeniem aparatów radiowych, sprzętu naprawczego i broni. Pierwszego sierpnia wczesnym rankiem zjawiłam się na punkcie zbornym (zdaje się, że było to na ul. Złotej) zmęczona i pobladła, bo właśnie wymknęłam się cudem kontroli niemieckiej, mając przy sobie "paczuszkę" z pięcioma nabitymi coltami wraz z zapasowymi magazynkami. Paczka dość duża, a udawać trzeba było, że można ją powiesić na jednym palcu - tak zresztą często robiliśmy. Jakoś znowu udało mi się wywinąć Niemcom.

"Franek"¹, nasz dowódca, już czekał. Kompania "Orbis" powoli zbierała się. Ciągłe jednak kogoś brakowało, bo i komunikacja była zła i terminy rozpoczęcia Powstania odwoływano, a każdy chciał się jeszcze zobaczyć ze swoimi bliskimi - może ostatni raz...

Niemcy wycofywali się już na zachód, na furmankach wiejskich, z tobołami i kradzionymi meblami, z bydłem - ot, resztki rozbitej armii. Dochodziły do nas odgłosy artylerii ro-

1 Kpt. łączn. Aleksander Jedliński, dowódca kompanii radiotelegraficznej "Orbis", w czasie Powstania Warszawskiego dowodził łącznością w Zgrupowaniu "Kampinos".

syjskiej, a samoloty radzieckie latały bezkarnie nad Warszawą rozrzucając ulotki. Siedzieliśmy jak na rozpalonych węglach, gotowi do akcji od zaraz.

Tego właśnie ranka "Franek" zwrócił się do nas ze słowami pożegnania. Po wydaniu instrukcji powiedział: "Nadeszła oczekiwana godzina walki. Za trzy dni albo się spotkamy, albo będziemy wisieć." Ku naszej rozpacz, bo chcieliśmy tu razem walczyć w Warszawie, dostaliśmy rozkaz - ja i "Teresa"² - aby wydostać się przed godziną trzecią z Warszawy, dojść do Lasek (Zakład dla ociemniałych) i stamtąd udać się do Puszczy Kampinoskiej jako łączniczki radiostacji "Orbisu". Zadaniem radiostacji było utrzymywanie łączności z Londynem, ponieważ Kampinos miał być głównym punktem zrzutów broni i sprzętu dla walczącej Warszawy.

Wśród wielu przeżyć w pamięci utkwiła mi szczególnie wyprawa do powstańczej Warszawy 8 sierpnia 1944 r.

Komunikacja radiowa kulała, bowiem - jak już wspomiałam - tylko część naszej grupy dotarła do Kampinosu. Brakowało wszystkiego: radiotelegrafistów, aparatów (mieliśmy tylko dwie radiostacje przyniesione przez nas), części zamiennych, kwarców do nastawiania częstotliwości wywoławczej, szyfrów i szyfrantek. Pamiętam jak 7 sierpnia wieczorem siedzieliśmy bezsilni i zastanawialiśmy się, co dalej robić. Po długich dumaniach "Franek" z "Wujkiem"³ doszli do wniosku, że trzeba nawiązać kontakt z Komendą Główną przebywającą w Warszawie, aby dostać stamtąd dyrektywy, kwarce, szyfry... W związku z tym należało przenieść kilka długich i bardzo ważnych meldunków. Samo przeniesienie było niczym w porównaniu z koniecznością przedarcia się przez pierścień wojsk niemieckich, którym była otoczona Warszawa. Tworzyły go jednostki pancerne i współdziałające z nimi oddziały Kałmuków i Ukraińców. Ponadto miejsce postoju Komendy Głównej AK było zmienne i nikt nie wiedział, gdzie będzie ją można w danej chwili znaleźć. Dlatego trzeba było zapamiętać kilka adresów znajdujących się w różnych punktach miasta.

Po takiej informacji zaległa cisza. Każdy zastanawiał się, czy to przedsięwzięcie ma szanse powodzenia, Wiadomości nadchodzące z Warszawy były chaotyczne i nie można było się na nich opierać. Na dodatek, w czasie ostatnich nocy, "Teresa" przeziębła się i nie mogła być brana pod wagę. "Kiedy i dokąd mam iść?" - zapytałam. "Franek" tylko na to czekał: "Meldunki przygotujemy jak najszybciej i chyba będzie lepiej, jak dzisiaj wieczorem pojedziesz do Lasek, by stamtąd wcześniej rano wyjść do Warszawy - odezwał się z ulgą - to przecież kilka dobrych kilometrów.

Dostałam dwa adresy: na Wolę i na ulicę Dzielną. Siedzieliśmy teraz obic z "Teresą", cicho rozmawiając. Ona, biedaczka, rozżalona, że nie może iść, a ja ze strachem myślałam o jutrzejszej wyprawie. Nie miałam pojęcia, gdzie jest ta ulica Dzielna. Chyba będę się mogła o nią gdzieś po drodze spytać? Na szczęście nie zdawałam sobie sprawy, jak trudna była sytuacja w Warszawie. Zresztą nikt z nas o tym nie wiedział. "Franek" żegnając się ze mną kazał zgłosić się do "Szymona"⁴, który został ranny w pierwszym dniu powstania, ale z łóż-

2 Anna Berdecka, łączniczka kompanii radiotelegraficznej "Orbis", w czasie powstania łączniczka "Orbisu" w Zgrupowaniu "Kampinos".

3 Kpt. łączn. Władysław Maliszewski, zastępca dowódcy ośrodka łączności w Zgrupowaniu "Kampinos".

4 Kpt. Józef Krzyżkowski, dowódca Zgrupowania "Kampinos".

ka kierował ruchem grup podwarszawskich i kampinoskich. Miał on mi dopomóc w dostaniu się do Warszawy. "Franck" powiedział mi tylko: "Musisz dojść, bo bez kontaktu z dowództwem niczego nie będziemy mogli zrobić."

"Szymon", przebywający tymczasowo w Laskach, był w takiej samej sytuacji jak i my - nie wiedział, co się działo w Warszawie, ponieważ kilku jego łączników nie powróciło stamtąd. Nie tylko nie mógł mi pomóc, ale dowiedziawszy się, że niosę meldunki, dołączył też i swój. Pomyślałam sobie wówczas - czy mam wisieć za dwa czy za trzy i tak jest to bez znaczenia.

Wczesnie rano 8 sierpnia wyszłam z Lasek odprowadzona do ostatnich naszych placówek przez przewodnika, który wskazał mi drogę i zostawił, jak powiedział, "na łasce Boskiej". Przy barykadzie na szosie pożegnaliśmy się, życząc sobie nawzajem "złamania karu" (to było takie nasze szczęśliwe zaklęcie).

Do warszawskich rogatek pozostało parę kilometrów. Obejrzałam się za siebie, pożegnałam, pomacałam meldunki - są, spuściłam warkocz, zdjęłam sandały i jak mała zagubiona dziewczynka pomaszerowałam na bosaka szukać "mamusi i tatusia", którzy pozostali w Warszawie, gdy ja byłam na wakacjach. Taką to sobie wymyśliłam bajeczkę dla ciekawskich.

Początkowo szosa była prawie pusta. Lecz im bardziej zbliżałam się do miasta, tym więcej mijałam ludzi obciążonych tobołkami ciągnących wózki z całym dobytkiem. Największy kłopot był w tym, że ja szłam pod prąd. Oni uciekali z Warszawy, a ja chciałam się tam dostać. W pobliżu Woli, na skrzyżowaniu ulic, miałam okazję wypróbować skuteczność mojej bajeczki. Zostałam zatrzymana przez Niemca, który legitymując mnie zapytał, dokąd idę? Widocznie musiałam być dobrą aktorką, bo moja historia połączona z rzecznymi łzami tak go wzruszyła, że nie tylko wskazał mi drogę na Wolę, ale jeszcze ostrzegł przed "bandytami". Chociaż chciało mi się biec, poszłam wolno pustą ulicą.

Ranek był śliczny, słoneczny. Od strony Woli widać było dymy pożarów. Strzały dobiegały z różnych stron. Szłam między małymi domkami ukrytymi w ogródkach, za wysokimi parkanami. W pewnej chwili zaryzykowałam i spojrzałam przez dziurę w płocie. Okazało się, że nie byłam sama. Po podwórku przed domem kręciło się kilku młodzieńców wyraźnie wyglądających na naszych "bandytów". W tym momencie usłyszałam krzyki i strzały. Przeskoczyłam przez płotek i padłam plackiem w kartoflisko. Miałam szczęście, bo od Woli pędził w moją stronę samochód pełen własowców. Zauważyli, czy nie? Dzięki Ci, Boże - przejechali. Po pewny czasie podniosłam się rozglądając, ale moi młodzieńcy zniknęli bez śladu.

Trzeba było iść dalej. Znowu doszłam do skrzyżowania. Przedem były tory kolei obwodowej. W prawo uliczka, w lewo na ukos znowu kartoflisko. Stoję i rozglądam się. I nagle huknął gdzieś strzał tak głośno, że aż przysiadłam niczym wystraszony królik. Nagle przez kartoflisko skokami w stronę nasypu kolejowego biegnie parę osób. Może to moi młodzieńcy z podwórka. Puściłam się skokami za nimi. Ale jak się pokazali, tak też mi szybko zniknęli. Doszłam jednak do małej uliczki, która prowadziła przez tunel na drugą stronę nasypu i znowu znalazłam się sama między płotami ogrodów. Po kilku zakrętach dotarłam do szerszej drogi, kiedy nagle rozpoczął się nalot niemiecki na Warszawę. Na Wolę

nie miałam po co iść, bo tam grasowali Niemcy i własowcy. Należało zatem szukać ulicy Dzielnej. Wiedziałam, że znajdowała się po lewej stronie od ulicy Wolskiej, więc skręciłam w lewo. Po paru krokach stanęłam i przetarłam oczy. W tej olbrzymiej, strasznej pustce, jaką stała się Wola, zobaczyłam mały domek z werandą, a na niej parę siedzących osób. Bałam się, że jak podejść, to mi znikną. Ale nie. Co za szczęście. Okazało się, że pani domu tuż przed wybuchem Powstania przywiozła tu męża zwolnionego z Pawiaka. Był tak wycieńczony, że dalsza jazda okazała się niemożliwa i dlatego pozostali w domu. Nakarmili mnie i poradzili przeczekać nalot. Byłam tak zmęczona, że nawet nie wiem, kiedy zasnęłam na tapczanie. Podobno przespałam parę nalotów.

W pewnym momencie coś mnie tknęło i wybiegłam na werandę, która nagle zarojła się prawdziwymi powstańcami z biało-czerwonymi opaskami. Okazało się, że syn właścicieli zakopał w ogródku amunicję, a teraz przyszli po nią i to z ulicy Dzielnej. Zapytałam, czy mogą pójść z nimi. Powiedziałam, że przyszłam z Kampinosu i muszę dojść na ulicę Dzielną. Zachowywali się w stosunku do mnie ostrożnie. Pobiegłam więc za nimi jako cywilna dziewczyna. W ten sposób dotarliśmy do naszych placówek na Cmentarzu Ewangelickim. Tu kazano mi czekać. Po paru godzinach zaprowadzono mnie do dowódcy odcinka. Później dopiero dowiedziałam się, że był to "Radosław"⁵, którego żołnierze właśnie wtedy uruchomili pierwszy zdobyty czołg niemiecki i zaczęli ostrzeliwać pozycje wroga. Zdałam mu meldunek, oddałam wszystkie "papierki" i poprosiłam o kąciek do przespania się. Powiedziałam sobie, że tutaj poczekam na odpowiedź. Doszłam i to było najważniejsze.

Później okazało się, że Komenda Główna AK przeniosła się tego ranka na ulicę Barokową na Starym Mieście⁶ i chcąc, abym tam do nich przyszła osobiście. Łączniczka przeprowadziła nas (oprócz mnie były jeszcze trzy inne łączniczki) dosyć bezpieczną drogą przez Cmentarz Żydowski koło Pawiaka. Jedynym niebezpiecznym miejscem był plac Krasieńskich znajdujący się pod obstrzałem "gołębiarzy". Słyszmy tamędy nie "gęsiego", ale tyralierą. W budynku gimnazjum na ulicy Barokowej wpadłam w objęcia "Gryfa" i jeszcze kilku panów. Nie wiem, co im się stało, że witali mnie tak radośnie. I znowu czekałam. Oczywiście odrabiałam zaległy sen na łóżku w pokoju łączniczek. Czasem słyszałam szepty nad sobą, ale jakoś dawano mi spokój.

Obudził mnie szczypty pan o zmęczonej twarzy, dziękując za poniesiony trud, chwalać za odwagę i obiecując nagrodę. Zaspana odpowiedziałam, że nie czas na takie głupstwa i że nie dla nagrody pracujemy. Uśmiechnął się, pogładził mnie po głowie i przeprosił, że niestety, ale jeszcze dziś będę musiała wracać na ulicę Dzielną, a stamtąd jak najprędzej do Kampinosu. Mają bowiem wiadomość, że szykuje się niemieckie natarcie i może być za późno. Kampinos jako zrutowisko dla Warszawy jest niesłychanie ważny. Po jego odejściu spytano mnie, czy wiem, z kim rozmawiałam?⁷

5 Ppłk Jan Mazurkiewicz, w czasie Powstania Warszawskiego dowódca zgrupowania "Radosław" walczącego na Woli, Starym Mieście, Czerniakowie.

6 Gen. Tadeusz Komorowski "Bór" opuścił wraz ze sztabem KG AK fabrykę J.Kamlera przy ul. Dzielnej 72 i udał się na ul. Barokową dnia 6 sierpnia.

7 Był to gen. "Bór".

Drogę powrotną pamiętam jak przez mgłę. Czuję ciągle serdeczne pożegnanie wszystkich z Barokowej, a także życzenia generała "Bora". O świcie 9 sierpnia opuściłam ulicę Dzielną żegnana zaczynającym się piekielnym atakiem oddziałów niemieckich i pociągu pancernego. Szłam z płaczem, bo zdawało mi się, że opuszczam walczących jak dezertier. Byłam chyba ostatnią osobą, która wyszła z miasta normalną drogą. Następne kontakty odbywały się już przez kanały.

Do Lasek dotarłam w ostatniej chwili. Niemcy nękali naszych i trzeba było wycofać się w głąb lasów kampinowskich. Doręczyłam meldunek uradowanemu "Szymonowi". Okazało się, że był tam również jego awans na kapitana. Zapytał, co chciałam w nagrodę. Byłam tak zmęczona, że myśl o dalszym marszu do Izabelina napawała mnie rozpaczą. "Łagodnego konia, by dojechać do swoich" - odpowiedziałam. Dostałam cudowną klacz "Basię", która jako wyćwiczony koń chłopców z lasu, idąc od drzewa do drzewa i kryjąc się przed nisko latającymi samolotami wroga, doniosła mnie do swoich, którzy byli już spakowani i szykowali się do marszu. Nie wiem, jak do nich trafiłam. Zawdzięczam to chyba "Basi". Wiem tylko, że "Franek" zсадził mnie z konia mówiąc: "A nie mówiłem, że Wanda wróci?" Nogi odmówiły mi posłuszeństwa i gdyby nie przyjacielskie ręce, usiadłabym na drodze. Umieszczono mnie na furze i dalej nic nie pamiętam. Obudziłam się następnego ranka, kiedy dojeżdżaliśmy do nowego miejsca postoju⁸.

8 Autorka wspomnień Wanda Skwirut-Grochowska "Wanda" została oznaczona Krzyżem Walczących jako pierwsza kobieta w czasie Powstania Warszawskiego.